

MAGAZYN OPINII

# Pismo

STYCZEŃ 2019 | NR 1 (13)



MAGAZYN OPINII

# Pismo

STYCZEŃ 2019 | NR 1(13)



ESEJ KULTURA

## Pornotsunami

REPORTAŻ

## Wychowałam dziewiętnaścioro dzieci

LITERATURA

## Kuczok na krawędzi Grynberg z nową prozą

PORTRET

## Mark Zuckerberg Czy zniszczył demokrację?

STUDIUM

## Plastik już nie jest fantastik



CENA: 14,99 zł (W TYM 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

0 1 >



9 772544 502906

# MAGAZYN OPINII Pismo.

STYCZEŃ 2019

## OPOWIADANIE

**Moja lewa stopa** | 2  
WOJCIECH KUCZOK

**Niedzielnia** | 95  
MIKOŁAJ GRYNBERG

## APTECZKA

**Co w niej trzyma...** | 7  
JAGODA SZELC

## POEZJA

**Spacer** | 25  
BARBARA KĘDZIERSKA

**Pewność** | 42  
TADEUSZ DĄBROWSKI

**Zosinów Nocą** | 96  
JOLANTA NAWROT

## OBRAZ

FOTOREPORTAŻ **Fortepian dla Chopina** | 26  
WOJTEK GRZĘDZIŃSKI

KOMIKS **Mama mówi** | 68  
EDYTA BYSTRON

SZKIC **Lekcja** | 64  
HENRYK

ŻARTY RYSUNKOWE **Sprawki**  
KATARZYNA GINTOWT

OKŁADKA **Skok w nowe**  
EWELINA KARPOWIAK

## PORTRET

8 | **Tak zwany dryg**  
MACIEJ KUCHARSKI rozmawia z dyrygentką AGNIESZKĄ DUCZMAŁ

34 | **Ja, Facebook**  
EVAN OSNOS przesłuchuje MARKA ZUCKERBERGA

## REPORTAŻ

16 | **Dom na Zielonej**  
ŁUKASZ PILIP o matce z wyboru

50 | **Rzeczpospolici**  
ZBIGNIEW ROKITA obala mity o Polakach na Litwie

## STUDIUM

58 | **Plastikowy gniew**  
STEPHEN BURANYI tłumaczy jak zabija nas plastik

## ESEJ KULTURA

76 | **Gang bang na mózgu**  
KAROLINA LEWESTAM podgląda ciemniejszą stronę porno

## WOKÓŁ KSIĄŻEK

88 | **Rzeź ptaków**  
PIOTR PAZIŃSKI na tropie białosępa

## FELIETON

14 | **Rzecz gustu,**  
CZYLI REDAKCJA POLECA co warto zobaczyć w styczniu

49 | GOŚCINNIE **Jak się złe zaczyna**  
ARTUR DOMOSŁAWSKI prosto z Brazylii

67 | TYMCZASEM **Wazon**  
MARCIN WICHA

W grudniowym numerze błędnie podpisałyśmy autorstwo okładki oraz pominęliśmy autorstwo tłumaczenia opowiadania Harper Lee. Malarkę Joannę Karpowicz i tłumacza Krzysztofa Cieślika serdecznie przepraszamy.

MAGAZYN OPINII  
**Pismo.**  
Pismo. Magazyn opinii  
www.magazynpismo.pl

Mecenas:  
**empik**

Wydawca: Fundacja Pismo  
ul. Grzybowska 4/111, 00-131 Warszawa  
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz  
Członkowie Zarządu:  
Agnieszka Liszka-Dobrowolska,  
Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,  
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorka Wydania Cyfrowego: Barbara Sowa,  
Dyrektor Artystyczny: Karol Tyczyński, Redaktorka Działu Idee i Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska,  
Projekt makiety: Jacek Utko, Redakcja i korekta: Marcin Czajkowski, Karolina Iwaszkiewicz, Zofia Sawicka,  
Dorota Śrutowska, Barbara Zarzecka, Public Relations: Ewa Salamon, Reklama: reklama@magazynpismo.pl,  
Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata, Wydanie Cyfrowe: www.magazynpismo.pl  
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.  
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

# Moja lewa stopa

tekst WOJCIECH KUCZOK

W ieje z południowego zachodu, a jak na złość wszystkie sensowne obejścia grani właśnie z tej strony. Żeby jeszcze rozwiewało chmury, toby i wątpliwości rozwiało, ale im bardziej duje, tym więcej się kłębi, tu już nie ma co liczyć na słońce, zaćmiło się, zsiniało, grań długa i widokowa w takich warunkach to już nie jest przyjemność. Już bym schodził, z przełączki żlebek jakiś jedynkowy, parszający żywym piargiem, ale w dół to się jakoś zniesie, spiargdoli się w podskokach, do doliny, do stawów, na czaj. Na swoje już wlałem, i wczoraj, i dzisiaj, mogę już zleźć, wcześniej niż było w planie, do niższego schroniska, może będzie w karcie coś poza czosnkową i gulaszem, żebym nie musiał zapijać wódką na żołądek, sieć się pojawi, sprawdzi się prognozy, jeśli powietrze przestanie się szarpać, to sobie tę grań dokończymy jutro, a jak nie, to za rok, gór do tej pory nie zburzą. Gdzież on, czemu samym ostrzem lezie, a raczej pełźnie po głazach, bo jak tak na samej grani zawieje, to i zwiac może, setka w porywach, równowaga chwiejna, pod kurtkę się wwieje taka wichrzyca i porwie jak na glajcie do Dzikiej Doliny. No, ja tamtędy nie mam zamiaru, pójdę obejściem, może go złapię przed następną przełączką i nakłonię do wycofu. Co tu napisał Paryski, „skośnym zachodzikiem do półeczki i wprost w górę po pewnych, zadzierzystych stopniach”, te zdrobnienia brzmią niepokojąco, więc czujnie się za-

chodzikiem do półeczki przesuwam, teraz ma być pewnie i zadzierzyście, czyli jak mniemam lito – no coś tam wystaje prosto w górę, wygląda drabiniasto, wołam do tego tam, w grań wczepionego: „E!”, tak na próbę, czy wiatr doniesie, ale tak szybko wieje, że przeleciało nad nim, zanim zdążył usłyszeć, widzę, że chowa się po drugiej stronie krawędzi przed podmuchami, czasem łeb wystawia, żeby dalszą drogę wypatrzeć, macham mu i pokazuję na chwyt nad sobą, na migi zapytuję, czy z góry wyglądają pewnie, on coś mi odmachuje, jakby potwierdzał, ale może to wiatr mu ręką poruszył, bo znowu się wczepia w skałę, żeby nie odlecieć. Niby mam lepiej, bo mi wieje w plecy, czyli jakby do ściany przykleja, ach, żeby tak wiało równo, to jeszcze, ale raz do skały przytula, a raz przestaje i wtedy oparcia brak, ten chce, złośnik, żeby się człowiek nawet w pionie zataczał. Wyje i całkiem cichnie, jak w starym radyjku, co to się w nim pokrętko od głośności zepsuło, raz łeb urywało, by za chwilę milknąć, to jeszcze w czasach, kiedy mnie ojciec w te góry przywoził i wymieniał szczyt po szczytce z taką pasją, z jaką ja odnotowywałem kolejne miejsca na liście przebojów. „A Durny – mówił – właśnie dlatego tak się nazywa, że ta jego grań zębata taka durnowata w wyglądzie, znaczy z naszej północnej strony, jakby dziecko góry rysowało”. No może i miał rację, bo z południa wygląda inaczej, może nawet pyszni się wyglądem, przez co Słowa-

cy go nazwali Pysznym; zawsze mnie kusilo, żeby po tej grani przeleźć, a ze szczytu tradycyjnie do ojca zadzwonić i zaskoczyć „Zgadnij, gdzie jestem?”, a potem podać mu nazwę wierzchołka. Jeszcze przed kilku laty, kiedy ojciec kumał bazę lub choćby był w pół drogi do bazy, nazwy kojarzył z oglądaną w młodości przez okno panoramą i za każdym razem wzdychał z podziwem i grozą „Lodowy?! Wysoka?! Mięgusz?! Gdzieżeś tam wlał?! Złaż natychmiast, bo się połamiesz!”, a mnie ten rytuał rozrzewniał, bo choć stary coraz bledsze miał pojęcie o topografii nawet w skali mikro, do własnej łazienki nierzadko w nocy już drogi nie odnajdywał, nazwy szczytów tatrzańskich trafiały do jakichś nienaruszonych fundamentów jego świadomości i bez pudła kojarzył, w której części mapy mnie szukać, a nawet na jakiej wysokości. Dziś już do niego nie zadzwonię, bo do szczytu nie doczłapiemy w tym wietrze, no dobra, teraz trzeba trochę do góry, po tym, co pewnie i zadzierzyście wystaje.

Drapię się, znaczy wdrapuję, metr, trzy, pięć, i teraz tak: łapię za wantę ładnie wklonowaną, staję pewnie, reszta w górę jak drabina, teren łatwy, chcę wyżej i czuję nagle, że obie moje ręce wyjmują wielki a chwytny głaz jak bochen z pieca, a grunt spod nóg moich też wyjeżdża, litość znienacka przechodzi w kruchość i już wiem, że nawet ten wiatr dziki mnie do skały na powrót nie przyklei, już wiem, że pogłoski o Tatrach



**WOJCIECH KUCZOK** (ur. 1972), prozaik, krytyk filmowy, eseista, speleolog. Za powieść *Gnój* otrzymał w 2003 roku Paszport „Polityki” oraz Nagrodę Literacką „Nike”. W 2005 roku odkrył Jaskinię Dującą (razem z Markiem Pawełczykiem), a w 2010 Jaskinię Twardą. W marcu 2019 roku ukaże się jego książka *Rozmемуary* (Wielka Litera).

w ruinie nie okazały się przesadzone, bo oto dokonałem rozbiórki, zdemontowałem południowo-zachodnią ścianę Pięciosa-wiańskiej Turni i spadam, nawet nie z niej, lecz z nią spadam, trzymam się kurczowo chwytu i stoję mocno na stopniu, a może to one się mnie trzymają, wszelako nie jesteśmy sobie nijak pomocni, czuję jakiś nagły przyptyw żalu i niezgody, bo wiem, że trzydzieści lat bezwypadkowej wspinaczki pod ziemią i na powierzchni właśnie się kończy, a zaraz potem uprzytomniam sobie, że życie się kończy, bo półka sporo na prawo, w linii spadku mam jakie sto metrów do żlebu, a trwa to tak krótko, że nawet mi się to życie z nagłą tracone nie zdąży wyświetlić; lecę ze skałą ze skały na skały i nic już się nie da więcej zrobić, nie można się przecież odbić od powietrza; żeby choć trochę w bok, na tę półkę. Nie mam czasu myśleć, zastygam na sekundę w gniewnej niezgodzie na śmierć i w żalu, że tyle życia niedożytego się zmarnuje tak bez sensu.

Leżę. I jest ze mną on, ten wróg mój, co bywa przyjacielem – ból. Tyle wiem, że leżę, a na mnie leży ból, a taki to ból jest, że chcę coś powiedzieć, a ryczę, chcę krzyknąć do tego tam na górze, a z gęby mi ryk się wydobywa, chcę wziąć oddech, i na tym wdechu też ryczę, samo się ryczy przeze mnie, nie wyję z bólu, tylko ten ból sam się ze mnie wyrzuje, taki ból, że nawet nie umiem go zlokalizować, tylko jedna myśl się przez niego przedostaje – skoro czuję, że boli, to żyję. Boli *par excellence* do posrania, do wyrzygania, jakby się ciało automatycznie chciało pozbyć dolegliwości przez wydalenie, jakby myślało, że wystarczy palec w gardło włożyć i wymiot przyniesie ulgę. Słyszę przez ten mój ryk, że ten z grani pyta, co się stało i czy wzywać śmięło, no ja chwilowo jestem komunikatywny jak jelen w rui, mogę tylko ryk intonować, z czego on wnioskuje, że lepiej od razu wzywać, grzebie w kieszeni jedną ręką, bo drugą się trzyma skały, zaraz mu ten telefon wypadnie, więc go chowa, próbuje znaleźć bardziej stabilne miejsce, schodzi do mnie, na półkę w gminie Ryki, gdzie nawet wiatr ucichł zawstydzony, że dał się zagłuszyć pojedynczej sztuce ludzkiej, w dodatku upadłej. A mnie zaczyna boleć konkretnie, czyli już wiem gdzie: lewa stopa, palec, albo tylko tam, albo tam najbardziej, tak że reszta przytłumiona. Adrenalina uwalnia się powolutku, to i myśli wracają do porządku: jestem, nie w kawałkach, między

mną a ciałem moim ciągłość zachowana, czuję się od głowy do stóp, przede wszystkim do lewej, właściwie czuję się od stopy do stopy, stop boleści wszelakich wlotowany mam w czubek buta, stop boleściom, chciałoby się rzec, ale na to trzeba będzie trochę poczekać, adrenalino, bądź łaska wa przyspieszyć, przekop we mnie ten kanał ulgi, proszę. „Żyjesz?” pyta on, a w takim jest miejscu, że zaraz ja jego mogę o to samo zapytać, bo te wszystkie stopnie, po których mógłby do mnie zleźć, wszakże przed chwilą zrzuciłem, został tylko pierwszy stopień do piekła, jego ciekawość, co też ze mną, znaczy nie czy źle, tylko jak bardzo źle, czy będę mu tu umierał teraz, czy może uda mi się doczekać ratunku, złazi do mnie i próbuje sobie przypomnieć szkolenie z pierwszej pomocy, ale chyba ma nadzieję, że wystarczy mi ta ostatnia, o, przestałem ryczeć, pierwsze słowo mi się wydostało, myśl głośna moja do niego skierowana: „Uważaj”, bo jak on jeszcze na mnie poleci, nie zdzierzę. Jestem oto na tej półeczce, z której startowałem, tego nie wytłumaczę inaczej niż ręką Anioła Stróża, obryw wielkości lodówki, z którym odleciałem, runął z łoskotem w przepaść, a ja leżę na półce i ruszam się, wiję, macam się, już wiem, że coś ze stopą, ale nie dowiem się co, póki buta nie zdejmę, jeśli rana otwarta, lepiej nie zdejmować, ale jak nie zdejmę teraz, to już potem tylko nożycami, bo but ciasny, lekka cizma na łatwy wspin, jak stopa spuchnie, to go już nie zedrę, ściągam więc,

widzę: stopa cała, ale palce... jeden się schował, drugi się skrzywił, może z bólu, bo całkiem solidnie, paluch, zamiast godnie przedłużać stopę, jest jak wskazówka ustawiona na piętnastą, prostopadłe. Wracając do tego drugiego, mniejszego, to on już jakby nie palcem jest, a wspomnieniem, nazwijmy go palcem dyskretnym na podobieństwo serdecznego, że on tak dyskretnie ulokowany obok tego wielkiego kapitana drużyny, niby do niczego nieprzydatny, przytulony do pomniejszych kolegów, a teraz całkiem jakoś się zatracił, zwiądl, lecz przecież palec nie więdną, dotykam go i nie czuję, za to ten duży daje o sobie znać, krew nawet nie taka bardzo wylewna. Robię zdjęcie, żeby na dole lekarzom pokazać, i myślę, czy to, co widzę, będzie okaleczeniem czy kalectwem, i co też mi utną z tej stopy, a kiedy dzwoni Żona, żeby ją uspokoić od razu mówię: „Być może wreszcie skończą się nasze kłopoty z parkowaniem, bo jak mi dadzą grupę inwalidzką, będziemy mogli stawiać auto na tych kopertkach z wózkiem, legalnie, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”. Bo z nią tak trzeba, z Żoną moją, jeśli się za niekorzyścią nie maluje na horyzoncie jakaś korzyść, ona popada w czelustę weltschmerzów, no jakże miałbym ją inaczej przekonać, że mąż inwalida nie taki do końca bezprzydatny. Coś mi tam w tej słuchawce po swojemu tłumaczy, żebym nie histeryzował i wracał do domu, bo nie ma kto psa wyprowadzić, to ja już dłużej nie przeciągam, bo bateria marznie i wysy-



łam jej MMS z rzeźni, chyba będzie musiała z psem trochę sama pospacerować, niech ma czas, żeby się z tym oswoić. Ból tężeje w stronę takiego mroźnego podszczyptywania, trzeba to owinąć (jest koszulka, jest czapka), spiąć (jest gumka do włosów) i może nawet zleźć cokolwiek w stronę stawów. Bo zawiewa zimowo, siedzieć nie da się za długo, wychłodzenie łapie od razu. Ten mój kompan dołądził i jójczy, zadzwonił, Horská służba już wie i wysłała śmigło, a ja już wiem, że to strata czasu tylko, bo jeszcze się taki helikopter na świecie nie pojawił, coby przy setce na godzinę zdołał się wzbicć ponad ambicje pilotów, jak oni sobie teraz będą próbowali startować, to ja tu z zimna zejść, już wolę zejść trochę na tej zdrowej pięcie, trochę na dupie, im naprzeciw. I schodzimy tak, staczamy się, zsuwamy, a piarg pod nami żyje, każdy kamień marudny, niestabilny, wszystko w rozsypce, której się trzeba poddać, z nią się zsypywać, bo sprzeciw wobec tej kruchej materii skalnej tylko energii pozbawia, jakże się wściekać na kamienie za to, że się usuwają spod nóg, to nie ścieżka turystyczna, gdzie każdy głąz wdęptany w glebę tysiącami grubych podeszew i jeszcze kontrolnie opukiwany przez ekipy remontowe, tutaj nikt człowieka nie zapraszał, samiśmy się wprosilili, dzikie piarżysko żyje sobie samo, a my je tu drażnimy tylko pomstowaniem. W końcu taras z grubymi piargami, ścianami w dolinę opada, ratownicy jeszcze nie podeszli, za to mgły podeszły, nie wiadomo, gdzie się wbić, żeby się żleb nie urwał, bo linę mamy niezbyt długą, i nie wiadomo, czy będzie z czego założyć. On co chwila mi znika w tej mgle, drogi szuka, ja siedzę i już mi zimno, śpiewam jak dureń (wszak pod Durnym utkwilem) i wyziębiam się jeszcze bardziej, bo para z gęby leci, a w zamian góry mi ciepła nie oddają, już im się do mnie śpiewać nie chce. Po chwili wraca niepyszny, bo wszystko się urywa, upłazki, trawki, żleby, nie da rady schodzić, to ja się przemieszczam dla samego rozgrzania na drugą stronę tarasu i tam żleb wynajduję jakiś mniej wystromiony, a chmury w końcu się rozwiewają w popłochu i widzę, że ratownicy leżą tam z dołu, już stawy minęli, machamy do siebie, dzwonimy, potwierdzają, że żlebem schodzić można. To schodzę, zbiegam niemal, żeby jak najszybciej, to zawiniątko na stopie już mi powisa ciężkie od blocka i wody, ale w końcu jestem przy nich, kładę się, dziesięciu chłopą be-



dzie mnie niosło; o helikopterze nie ma mowy, za mocno wieje, wiadomo.

Pakują mnie na nosze, ustalają kolejność zmian i tak teraz dwójkami, co parę minut, przejmują te moje siedemdziesiąt siedem kilo plus plecak, i schodzą do Terinki, a potem Małą Zimną Wodą, a ja pierwszy raz w życiu – i oby ostatni – tak tę dolinę oglądam, na wznak się przemieszczając, te chmury wzięte w nawias grzbietów, z prawej Pośrednia, z lewej Łomnicka Grań, jestem w ciasnym kokonie, z którego tylko gęba wystaje na oddech i wszystko, co widzę, to niebo posiniałe już w stronę wieczoru, przymazane tymi mrakami, oni na drapacz chmur mówią mrakodrap, ale tak mnie zalepili tymi rzepami, że ręką nie ruszę, choćbym się chciał po chmurze podrapać. Jacyś turyści jeszcze na szlaku, spozierają ponuro, a nawet lękliwie, to specjalnie do nich głową ruszam i minę robię na znak, że nie trupa znoszą, i mrugam nawet, żeby sobie pomyśleli, że to tylko takie manewry, a ja udaję rannego. Niżej zamiast chmur widzę już gałęzie, mijamy Chatę Zamkowskiego i dalej skrótem pod Rainerową, gdzie czeka jeep. Okazało się, że byłem do zniesienia.

Znajomi akurat w Smokowcu, to się z nimi podwożę do szpitala w Zakopanem, na izbie przyjęć tłok, bo skoro ostatni podryg lata w Tatrach, to od razu wzrosła liczba polamańców, ale widzę, że lekarze przyjmują wedle kolejności, nie wedle przypadku, bo przede mną i jakies dziecko do kontroli ręki na temblaku, i jakiś pan do zmiany opatrunku i pani, co jej się niedobrze zrobiło

po żentycy. Czekam na swoją kolej grzecznie i cierpliwie, ale zdjęcie w komórce pokazuję temu na recepcji, że moja stopa tak, a nie inaczej wygląda od ośmiu godzin, czy nie mógłby przekazać tam w gabinecie, ale tu chyba się różnych już sposobów imano, by kolejkę ominąć, więc pan mówi, że przekaże, i to mi musi wystarczyć, recepcjonista dalej siedzi i dojrzewa jak Polska do wojny domowej. W międzyczasie toprowcy kogoś przynoszą, wśród nich stary kumpel, na nim moje zdjęcie robi wrażenie, kopiuje je sobie do materiałów szkoleniowych, ale potem znowu siedzę, czekam i chyba trochę jakby jednak mdleję, bo wydech zrobiłem głęboki w pustkę, a na wdechu już widzę blisko mnie twarz żeńską, zmartwioną i zaraz potem ktoś życzliwy bez kolejki mnie jednak wpycha do gabinetu, tam wszyscy oburzeni, pielęgniary i lekarze, a ja z tą moją fotą w komórce jak z przepustką, najpierw spójrzcie, potem krzyczcie. Spoglądają i krzyczą, że teraz zaraz natychmiast i w ogóle czemu tak późno – rentgen i blok operacyjny, chirurg mówi, że z tym mniejszym palcem to się mogę pożegnać, a ja mu na to, że chyba już nie ma z kim, na co on: „cieszę się, że pana humor nie opuszcza” i dodaje, że o paluch powalczymy, ale nie wiadomo, jak będzie. Wysłałam jeszcze SMS-a do Zony, że z pieskiem nie pójde, bo jadę na amputację palca, na co ona odpisuje, że pójde, jak mi odrośnie, na co ja, że się cieszę, że jej humor nie opuszcza.

Budzę się ma morfinie, więc jestem radosny i dumny, moja pierwsza amputacja się powiodła, zostawili mi nawet kikutek pa-

liczka na pamiątkę, wielki paluch ocalał, ale na jakimś drucziku niejakiego Kirschnera, to znaczy przewiercili mi kość wzdłuż i tam taki minimaszcz włożyli, żeby się paluch trzymał, wystaje z niego antenka. Wreszcie jestem niesymetryczny, Żona zawsze twierdziła, że symetria jest estetyką głupców. Leżą ze mną przypadki. Komu się spadło? Panu ze Świnicy, bo robił zimową drogę latem i but mu się omsknął na mokrych porostach, teraz ma kręgosłup pęknięty i czeka w bezruchu na werdykt. Kogo na zakręcie za bardzo przechyliło? Motocyklistę i żebra mu się od tego pomieszały. O kim szepczą siostry „Mosiek”? O panu, który przyleciał aż z Tel Awiwu, żeby sobie nogę złamać na zejściu z Hali. Wszystko mnie zachwyca wprost panteistycznie, Bóg istnieje w zastrzyku, krzesle, prześcieradle, nartach na ścianie; ach, nawet mnie nie martwi to, że nie odzyskałem czucia w genitaliach po znieczuleniu podpajęczynkowym (wiem, że tam zawsze wraca ostatnie). Ale szpital publiczny, morfiną nie szastają, po kilku godzinach powody do zachwytów się kurczą, a potem wraca stary znajomy, ból, i tak sobie wędruje po skali od jednego do dziesięciu, a pielęgniarzy dopytują, czy już ósemeczka, bo jak nie, to może jeszcze się wstrzymamy z opioidami. No to czekam, ale kiedy czubek palca mi rozsadza już wtedy, gdy ktoś przedzie na korytarzu, kiedy najmniejszy ruch powietrza zaczynam czuć w stopie jak bolesny podmuch, mówię, że chyba już ósemka minęła. Morfiny nie ma, jest jakiś słoń w płynie, od którego mi się we łbie kręci i w oczach dwoi, nie ma czytania, sen albo ból, taka jest alternatywa.

Żona dopytuje, kiedy zamierzam wrócić do Warszawy, bo ją strasznie łupie w krzyżu od podnoszenia dziecka, ja jej na to, że na razie mnie nie chcą puścić, bo martwica w ranach rośnie i nie wiem, czy wrócę bez palca, bez palców, czy bez stopy, ona na to, żebym nie robił z siebie męczennika, jak zwykle ma rację, żebym choć w kopalni, zarabiając na nianię i pieluchy, nogę stracił, ale nie, wakacje sobie zrobiłem w górach i jeszcze się spierdoliłem ze skałą, tym współczucia nie wzbudzę, ona na swoim froncie walczy boleśnie, choć bezkrwawo. Przy zmianie opatrunku widzę, że paluch jest żywy, ale to zdarte mięso z niego, które próbowali przyszyć, już umarło i wyszło – robi teraz za taki naturalny organiczny plaster. Z kolei w ranie po amputacji pojawiły się jakieś „pałeczki” i nie wiadomo, co

to będzie. To ja wyciągam nazwę pałeczek i dzwonię do kumpla, żeby dopytał innego kumpla, który zna znanego profesora, co to za bakteria straszliwa się na mnie wylęgała i czy przeżyję. Rychło przychodzi odpowiedź, że wyhodowali mi w posiewie zwykłą florę bakteryjną skóry i żebym się z tego szpitala zabierał, zanim do tego dojdą, bo czasu szkoda.

No to się zabrałem.

Dziabę się regularnie, zastrzyki przeciwzakrzepowe z cyklu „zrób to sam” to żaden *challenge*, igły cienkie, tylko za pierwszym razem jakaś bariera psychologiczna przed samodziabnięciem w brzuch. Mam leki z kodeiną, działają, sypiam z nogą na oparciu kanapy, da się żyć. Radzę sobie w mieszkaniu, froteruję tyłkiem podłogi, tak jakby raczkując. Jednak w pionie krew spływa, i jeśli nie boli, to co najmniej nieprzyjemnie rozpiera spuchniętą ranę. Najszybciej daję radę, kiedy się kładę na deskorolce: jedno pchnięcie z kuchni do łazienki, jedno do drzwi wejściowych, wszędzie się mogę dostać płynnie, o ile zabawki rozrzucone nie leżą na podłodze.

Znany profesor patrzy na moje zgłiszczca i kiwa głową z uznaniem, „No ślicznie”, mówi, a ja nie wiem, czy to ma być jakiś karcący sarkazm, czy on naprawdę się

zachwyca tym, na co ja patrzeć nie mogę. Szarpie mnie za jakąś resztkę ściągienka, pyta „Czuje pan to?”, a kiedy odpowiadam, że nie bardzo, bierze skalpel i coś mi tam odcina na moich oczach i już tnąc, planuje dalsze cięcia, niczym redaktor upadającej gazety, a przy tym mówi dużo i bez przerw, nie można nie przyznać, że mówi prawie wyłącznie rzeczy ciekawe. Na przykład o tym, jak się zmienia na przestrzeni lat procent wypadków sportowych w stosunku do drogowych (nie tyle wynika to z rozwoju medycyny sportowej, co z samego upowszechnienia wśród klas wyższych mody na sporty ekstremalne lub choćby ekstremalne uprawianie sportów zwyczajnych – dziś dyrektor banku, który nie jest zarazem nurkiem jaskiniowym albo choć triathlonistą, na salonach nie będzie miał czym za imponować). Będę miał jeszcze dwie operacje stopy – lada dzień usunięcie martwicy i nieco później plastykę lub przeszczep. Badań co niemiara, jeszcze mi przy okazji gotowi wykręć jakiś wyprztyk z innej beczki i tak będę już wizytował kolejne bojowe jednostki chorobowe, aż okaże się, że jestem nieuleczalnie chory na przedstarczy uwiad.

Kiedy Antoś widzi, że mnie boli, proponuje mi smoczka.

Było już klawo, teraz będzie kulawo.





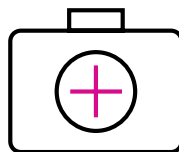
Miało być bez wstępniaka. Ale bohaterka jednej z dwóch nowych rubryk w „Piśmie”, reżyserka Jagoda Szcel powiedziała mi coś, co zostało ze mną na dłużej. Zapytałam o jej zestaw obowiązkowy, który zawsze musi mieć przy sobie, gdy wyjeżdża, i wtedy, kiedy jest w domu. Podręczną apteczkę złożoną z najważniejszych książek, reprodukcji obrazów przynoszących spokój albo inspirację, ulubionej płyty, ważnej fotografii. Sama taką apteczkę „złożyłam”. Lubię ją mieć przy sobie. Zestaw nie jest stały, niektóre przedmioty z biegiem lat tracą swoją przydatność, to, co kiedyś w nich odnalazłam, dziś niczego mi nie tłumaczy, straciło moc. Usuwać je i robić miejsce nowym. Niektóre zostają na dłużej, może na zawsze.

Zanim odpowiedziała na pytanie, Szcel zwróciła moją uwagę na coś nie mniej ważnego: „Kiedy oglądasz jakiś film lub patrzysz na obraz, nie zastanawiaj się, co artysta chciał przez niego powiedzieć, zadaj sobie pytanie: «O czym to jest dla mnie?»”. Do poszukiwań nowych, własnych interpretacji tego, czego doświadczamy, bardzo Państwa w nowym roku zachęcam. I mam ogromną nadzieję, że i w drugim już roku swojego istnienia „Pismo” nadal będzie dla Państwa o tym, co istotne, i o tych, którzy wymagają naszej uwagi. I że kolejne numery znajdą się i w Państwa podręcznych apteczkach.

– redaktorka naczelna Magdalena Kicińska



## Apteczka



### JAGODA SZCEL

(ur. 1984), reżyserka, scenarzystka. Laureatka Paszportu Polityki. W 2017 roku za swój debiutancki film *Wieża. Jasny dzień* otrzymała nagrodę za scenariusz i debiut reżyserski na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Obraz pokazywano też na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Berlinie. W marcu do kin wejdzie jej kolejny film *Monument* (zdołał wyróżnienie konkursu w Gdyni).

Coraz częściej zamiast o inspiracji rozumianej jako czerpanie z tego, co ktoś stworzył, odbijanie się od cudzego dzieła, staram się do danego tematu podejść jak najbardziej praktycznie. Czyli zamiast „inspiracja” powiedziałabym raczej: „metodologia”. Twórców w Polsce nie uczy się, jak budować swój warsztat, jak go rozwijać ani też jak dbać o higienę pracy, która jest nie mniej ważna jak talent. Coraz częściej zachwyca mnie nie gotowy utwór, ale sam proces jego powstawania. Podglądam, jak pracują inni, żeby „przyłożyć” to do siebie, zastanowić się, w jaki sposób ja myślę o jakimś problemie, przed którymi stali inni reżyserzy, jak ja bym go rozwiązała. Zastanowić się: o czym to, co widzę, z czym obcuje, jest dla mnie? Co o mnie samej mówi to, że dany obraz mnie wzrusza albo przeciwnie, nie wywołuje żadnej reakcji, mimo że setki tysięcy osób na świecie w danym momencie nim żyje? W jaki sposób mogę to dla siebie wykorzystać? Moja apteczka jest więc w dużym stopniu niematerialna.

Jest w niej na przykład haiku Bashō Matsuo, które zawsze sobie powtarzam w aucie w drodze na plan (bo, jak mówił Stanley Kubrick, „najtrudniejsze w robieniu filmu to wysiąść z samochodu”):

*„Chory w podróży  
Moje sny błędzą przez wyschnięte pola”*

Przedmiotów, które są dla mnie ważne, staram się ostatnio mieć coraz mniej. Trochę dlatego, że dopiero od niedawna mam dom, a wcześniej wiele razy „ja i moje rzeczy”, jak mówi moja przyjaciółka, reżyserka Ania Morawiec, musiałyśmy się przeprowadzać, a każda przeprowadzka to konieczność selekcji. Ale przede wszystkim dlatego, że bliska mi jest idea *zero waste*, bez marnotrawstwa. Chciałabym jak najmniej dokładać do tej ogromnej liczby przedmiotów, które produkujemy, tak jak chciałabym, żeby po mnie samej nie zostało nic: wrócić do natury, z której powstałam, która była długo przed nami i będzie długo po nas.

Ale oczywiście jest parę rzeczy niezbędnych. Przydają się zwłaszcza wtedy, kiedy pracuję. Przede wszystkim: notesy. Mam ich wiele. Jeden do zapisywania pomysłów na sceny (ta mi się przyda do filmu, tę mogę przerobić i komuś oddać), drugi, w którym notuję, co naprawiłam, w trzecim – co zrobiłam, w czwartym – co spieprzyłam. Na szczęście nikt nigdy ich nie zobaczy. Po co to robię? Żeby niczego nie przeoczyć, być obecna. Tak zresztą mówię do zespołu na planie filmu: nie „Akcja!”, ale „Teraz!”. W ogóle ostatnio coraz intensywniej przyglądam się słowom. Po to też często zaglądam do dość zabawnej może książki typu „mądrości ludzi z całego świata”. Dostałam ją w nagrodę w ósmej klasie podstawówki i od tamtej pory się z nią nie rozstaję. Każde ważne pojęcie jest tam definiowane przez osoby o bardzo różnym doświadczeniu życiowym i zawodowym, pochodzące z różnych kultur. Choćby taka „wolność” – pięćdziesiąt definicji. Dlaczego to dla mnie ważne? Bo chcę być precyzyjna. Często przecież, używając danego słowa, mamy na myśli coś trochę albo zupełnie innego niż osoba, do której mówimy. Chcę mieć pewność tego, co chcę powiedzieć, żeby dobrać właściwe wyrazy i treść. Pracuję, komunikując się, a nie czuję się w tym temacie ekspertką. W ogóle uważam, że za mało poświęcamy uwagi temu, jak ze sobą rozmawiamy. A przecież można nad tym pracować. Znów więc wracam do metodologii, którą jako reżyserka rozumiem przede wszystkim jako naukę pracy nad sobą.

# Tak zwany dryg

z AGNIESZKĄ DUCZMAL  
rozmawia MACIEJ KUCHARSKI

DECYZJĘ O TYM, że zostanie dyrygentką, podjęła w wieku siedmiu lat. W październiku ubiegłego roku jej orkiestra kameralna obchodziła pięćdziesiąte urodziny.

J a sam od Agnieszki Duczmal nie mogę się uwolnić już ponad trzydzieści lat. Gdy studiowałem w Poznaniu, słynna pani dyrygent – w tamtych czasach nie mówiło się jeszcze „dyrygentka” – stanowiła dla mnie, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, element lokalnego pejzażu. W mojej głowie zajmowała miejsce tuż obok koziołków z ratuszowej wieży i świętomarcińskich rogali z białym makiem. Traktowałem ją jak oczywistą część tego co to miasto ma do zaoferowania najlepszego, najbardziej charakterystycznego. Bo w mieszczańskim Poznaniu na koncerty „Duczmaliki” po prostu należało chodzić, podobnie jak „na słodkie” do Hotelu Bazar. Najlepiej w niedzielę. Miałem wrażenie, że poznaniacy traktują Agnieszkę Duczmal z niezwykłym szacunkiem, jako lokalne dobro właśnie, którego stolica nigdy nam nie wyrwała. Dla niektórych ten lokalny patriotyzm był chyba nawet ważniejszy od osiągnięć artystycznych słynnej dyrygentki. Niemądre to tym bardziej, że jej kariera w zasadzie od samego początku nie miała lokalnego charakteru. Ze swoją orkiestrą, a i bez niej, wyjeżdżała, żeby dyrygować do najważniejszych sal koncertowych świata. W 1982 roku Międzynarodowe Centrum Kultury Saint Vincent w Rzymie (pod patronatem UNESCO i prezydenta Włoch) w uznaniu zasług na polu kultury nadała jej tytuł La Donna del Mondo, Kobiety świata. Z powodu stanu wojennego dowiedziała się o nagrodzie wiele miesięcy później.

AGNIESZKA DUCZMAL (ur. 1946), dyrygentka. Założycielka i dyrygentka Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia Amadeus, występowała również z innymi orkiestrami symfonicznymi w kraju i za granicą. Uehonorowana między innymi Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i „Złotym Fryderykiem”.

Nasze pierwsze spotkanie sprzed kilkunastu laty nie należało do udanych. Choć przygotowałem się do niego jak wzorowy uczeń (a do tego założyłem gustowne skarpetki w nutki), to jej serca nie rozmiękczyłem. Nie miała czasu na rozmowę. Właśnie skończyła próbę w poznańskiej auli Uniwersytetu Adama Mickiewicza, gdzieś biegła, coś załatwiała, a poza tym widziałem, że była po prostu zmęczona. Potem mijaliśmy się przy różnych okazjach, w Polsce i za granicą. Trzeba było aż półwiecza Orkiestry Kameralnej Polskiego Radia Amadeus, byśmy wreszcie się spotkali. Gnałem na to spotkanie przez zatłoczoną i deszczową Warszawę, do której ja przez ostatnie lata jakoś przywykłem, a wobec której ona pozostała trochę sceptyczna. I do której, wbrew namowom, nigdy się nie przeniósł.

**Jest Pani pierwszą dyrygentką, która wystąpiła w mediolańskiej La Scali. Ma Pani jeszcze siłę odpowiadać na pytania o to, jak kobieta radzi sobie z batutą?**

Przez kilka lat, gdy stawiałam pierwsze kroki na estradzie, podczas wywiadów od razu pojawiała się kwestia: kobieta – dyrygent. W końcu postawiłam warunek – możemy rozmawiać o wszystkim, ale nie o tym, jak to jest być dyrygentką. Prosiłam, by nie poruszać tego tematu. Chciałam być traktowana jako muzyk, bez względu na płeć, która w tym wypadku jest na drugim planie. Długo byłam konsekwentna. Dopiero po jakimś czasie, gdy ugruntowała się moja pozycja w świecie muzyki, postanowiłam czasami robić wyjątki. Proszę jednak pamiętać, że to nie jest mój ulubiony temat.

**Ale ciągle temat...**

Niestety. To jest nadal rodzaj ciekawostki, która ludzi zajmuje, choć dyrygentek jest coraz więcej. Od dziennika-



rysunek KATARZYNA GAJEWSKA